

Indywidualizm

Drzewo z drzewem konarami się spleta,
stoi las niewzruszony, szarą ścianą —
wicher się nie przedrze — porwie swą szatę,
fala odstąpi z grzbietem przełamanym...

Ja żyć tak nie chcę, moi mali bracia —
wysoko nad lasem mój pień ogromny —
mówią: drzewa samotne wiatr przewraca,
mówią: w drzewa najwyższe biją gromy...

i niech mnie pierwsza burza złamie na pół
i niech gromy biją we mnie ulewą —
stąd widzę horyzont — i wschód i zachód,
wy — tylko sąsiada z prawej i z lewej!

Rośnie las niewzruszony, szarą ścianą —
kiedys jak ja będą wielkie pnie wasze,
lecz wschód i zachód nieznane zostaną —
z prawej i z lewej sąsiad będzie zawsze...

Zbigniew Pędziński

O tzw. „zarozumiałym niezrozumiałstwie” i kilku innych problemach współczesnej poezji

Od razu powiedzmy sobie szczerze: od kilku lat mówi się wciąż o kryzysie we współczesnej poezji polskiej — i mówi się w pewnej mierze słusznie. Jeśli w ogóle literatura nie zawsze dostatecznie szybko nadąża za przemianami społecznymi i kulturalnymi w naszym kraju — to szczególnie obciążać trzeba takim oskarżeniem poezję. Rzecz to może nawet niezrozumiała dla kogoś pamiętającego o roli, jaką w życiu narodu polskiego odegrała chociażby twórczość naszych romantyków: obecnie bowiem poezja stała się sztuką bardzo elitarną, przeznaczoną nie dla szarych czytelników, ale dla smakoszy literackich.

Od kilku lat nakłady tomików współczesnych poetów nie przekraczają cyfry 5000 egzemplarzy, kolumny poetyckie w dziennikach należą do rzadkości, a w tygodnikach społeczno-kulturalnych — do nie czytanych fragmentów pisma. Gdy w dyskusje literackie na łamach pism periodycznych wtrącają się zazwyczaj bardzo żywo i gorąco czytelnicy — dyskusje poetyckie zmieniają się w akademickie spory między poetami a krytykami. Wyjątkiem jest tu tylko „POEMAT DLA DOROSŁYCH” Adama Ważyka — ale i on traktowany jest głównie jako dokument ideologiczny, a nie utwór poetycki.

Wrażenie płynące z tych wszystkich faktów można by ująć jako pytanie: Czy istnieje kryzys we współczesnej poezji polskiej? Chyba jednak istnieje. A powodem jego jest niechęć czytelników do poezji, która wyraża się w określeniu jednego z nich współczesnej twórczości poetyckiej jako „zarozumiałego niezrozumiałstwa”. Coś w tym jest racji: gdy sztuka straci kontakt z odbiorcą — znaczy to najczęściej, że przemawia do niego obcym, nie zrozumiałym językiem.

Co prawda, były w ubiegłym dziesięcioleciu próby zbliżenia poezji do czytelników, przybliżenia wyrażanych przez nią treści światopoglądowych poprzez zastosowanie prostych, może nawet aż prostactkich środków artystycznych. Próba spaliła na panewce: okazało się, że wulgaryzowanie (bo to nie była popularyzacja!) poezji jest równym złem, co zamykanie jej w estetycznej i artystowskiej wieży z kości słoniowej. W chwili obecnej daje się więc odczuć znowu nawrót do poszukiwania indywidualności i oryginalności poetyckiej za wszelką cenę.

Wydać się, że nasi starzy i młodzi poeci nie potrafią jakoś dotąd rozwiązać dylematu między awangardowością a tradycjonalizmem, między przeszłością a przyszłością historyczną i literacką. Dylemat ten jest zresztą tylko pozorny — droga prawdziwego poety prowadzi bowiem wstawionym już przez Horacego „złotym środkiem”, jest mądrym wyborem najlepszych cząstek z dorobku ideowego i artystycznego przeszłości i pomnażaniem ich o najcenniejsze dary, jakie niesie ideologia i sztuka teraźniejszości.

Taki wybór nie jest rzeczą łatwą; opierając się na nim metoda poetycka Leopolda Staffa znalazła, być może, dlatego tak mało prawdziwych i uczciwych naśladowców. Taki wybór musi się opierać, jako na fundamencie, na wiedzy o człowieku, świecie i literaturze. Poeta współczesny nie może być nieukiem... A sądzę, że właśnie w nieuctwie naszym — nie tylko najmłodszych poetów — leży istotna przyczyna kryzysu ich sztuki. Są oni bowiem po większej części wielbicielemi tak słusznie wydrwionego już w latach międzywojennych przez Irzykowskiego „talentyzmu”. Talent jest wszystkim — zdaje się sądzić już młodzież wstępujący w szranki poetyckiej muzy — i dlatego, zamiast pokornie uczyć się sztuki trzymania na wodzy słowa i myśli od dawnych mistrzów, wstytkie siły, czas i — nierzadko niewątpliwie — zdolności zużywa dla poszukiwania dziwagłów metaforycznych i weryfikacyjnych. Tymczasem służ nie zauważył jeszcze i tak — że Irzykowski, że na drzewie genealogicznym (tak pojętej) literatury polskiej siedzą same małpy i papugi... że trzeba dziś przekazać czytelnikowi w poezji nowe, niespotykane dotąd treści światopoglądowe i realia — rzecz to jasna i oczywista. Że te treści i realia wymagają niejednokrotnie rewolucyjnego przekształcenia, a może nawet stworzenia nowych, adekwatnych środków artystycznych — wszyscy doskonale to rozumiemy. Ale droga do realizacji tych postulatów nie wiedzie na pewno po przez „talentyzm”, ale poprzez długą i żmudną pracę, pracę — dodajmy — pisarzy, krytyków i czytelników. I dlatego środki zaradcze na kryzys współczesnej poezji: polskiej mogą być nie tylko ideowe, artystyczne — ale również organizacyjne.

Rzecz ciekawa i charakterystyczna dla sytuacji we współczesnej naszej literaturze i sztuce: do tej pory nie zostały powołane w Polsce uczelnie — na wzór np. Instytutu im. Gorkiego w Moskwie — kształcące młodych pisarzy, a więc także i poetów. Jeśli się nie uważa, że ukończenie klasy kompozytorskiej w konserwatorium morderuje w zarodku oryginalność twórczości młodego muzyka — dlaczego takie skompromitowane kryteria stosuje się (może nie w teorii, ale na pewno w praktyce) do młodych pisarzy i poetów?

Czy sztuka pisania dobrych wierszy jest łatwiejsza od metod obowiązujących w zakresie kompozycji pięknego obrazu, (DOKOŃCZENIE NA STR. 3)

Leszek Prorok

Biuro najwyższego napięcia

Coraz głośniejsze w ostatnich miesiącach o konieczności ocalenia dla historii i literatury przepadających w zapomnieniu lat wojny. Wspomnienia biedną i kłukną, jak tonący łódź, tworząc wyrwy w historii narodu. Czas rzadko daje sobie wydrzeć takie zatopione polacie dzieł, stąd apele o gromadzenie pamiątkarskich zapisków, jakich nie mało tkwi bez wątpienia w polskich szufladach, stąd wartość każdego dokumentarnego przyczynku, stąd olbrzymie wrażenie utworów literackich, które rzucają znów ostre światło na zapomniane kontynenty. Wrażenie takie wywołał niedawno, nadany w programie radiowym „Kanał” Jerzego Stawińskiego, opowiadanie o tragicznych chwilach powstańców warszawskich, przedzierających się kanałami z Mokotowa do Śródmieścia.

Powstanie warszawskie — oto jeszcze jeden olbrzymi temat, arcytrudny i arcyżołony, który marnotrawczo zlekceważyły: historia i literatura.

Wśród wspomnień powstańczych, jakie doczekały się tuż po wojnie publikacji, na czoło zainteresowań wysunęły się opisy bojowe, świadectwa akcji. Życie potoczne przedziwnego miasta, jakim była walcząca Warszawa, niepodobna do żadnej z Warszaw poprzednich, tej przedwojennej i tej okupacyjnej, a jednak zdradzająca w rysach charakteru rodzinne podobieństwo, nie miało szczęścia. Gdzieś tam ktoś wspominał drugoplanowo pracę szpitala czy wypowiedział kilka uwag na temat ludności cywilnej. A przecież, jak zawsze, tak i w czasie tych dwóch miesięcy, życie stolicy rozwijało się i toczyło na wielu płaszczyznach, nieraz bardzo odległych. Odcięta od reszty kraju i świata, pozostawiona samej sobie ludność Warszawy usiłowała rozmachem, mnogością form działania zastąpić widmo niepotrzebnej klęski, coraz wyraźniejsze w miarę upływu dni.

Życie miasta najbujniej kwitło w Śródmieściu, dzielnicy, która, mimo ostrych walk, zażywała przez długi czas względnego spokoju, i która dotrwała do dnia kapitulacji, jako polski jeszcze wyćwiek kilkunastu ulic, kilku placów i kilkuset kamienic, zaludnionych ponad dwustutysięcznym tłumem: wojska, mieszkańców i uciekinierów z innych dzielnic.

Tu mieściły się ośrodki dyspozycji; komendy i władze cywilne. Tu skupiała się większość organów prasy. Tu w okresie kilku pierwszych tygodni walk, gdy front przebiegał „daleko” — Nowym Światem i Królewską, odczuwało się „oficjalność” Placu Napoleona, która drażniła jednych, roznosiła drugich, rozczulała trzecich. Tu również tętnio nerwowe, wartkie życie ulicy Kruczej, osi dzielnicy Śródmieście — Południe. Tu w pewnych godzinach, jak sprzed Domu Prasy, rozbiegały się dziesiątki kolporterek z najświeższymi wydawnictwami gazetki, przez megafony rozbrzmiewały koncerty dla ludności, odbywały się msze w licznych kaplicach, urządzonych przyspólnie w prywatnych mieszkaniach. Tu rozlepiano dziesiątki zarządzeń, instrukcji, wezwań, sloganów, plakatów. Tu wreszcie, skryte często dyskretnie i skromnie, mieściły się i pracowały zespoły ludzi, których wkład do wspólnej walki, mimo iż wielki, okupiony ciężkim trudem i ryzykiem, pozostawał niedoceniony, nieznany.

Jeden z takich zespołów, elektryków stolicy i ich dzieło, pragnąłbym przypomnieć w sierpniowym wspomnieniu sprzed lat dwunastu.

stacje i prowadziło wszelkie prace elektryczne.

Kierownik Biura podlegał bezpośrednio Delegatowi Dzielnicowemu. Jego zastępcą i najbliższym współpracownikiem był oficer inspekcji sieci elektrycznej Komendy Placu. Zgodnie i owocne współdziałanie obu tych czynników odbijało od licznych, gromadzących zatargów między dowództwem A. K. a cywilnymi władzami w wielu innych dziedzinach.

Gwar i tłok panował przez dzień cały na korytarzach kilkopokojowego mieszkania przy ul. Wilczej. Co chwila brygady monterów wyruszały w różne punkty dzielnicy, by ratować uszkodzone połączenia i zakładać nowe, wyłączać prąd nieprzyjacielowi i, o ile to było możliwe, zabezpieczać przed wyłączeniami strony przeciwej. Wracali nierzadko osmaledymem potyczek. Jednostki wojskowe i urzędy przysyłały po baterijki, po silniki, po akumulatory. W pokoju kierownika inżynierowie „sztabowi” układali plany batalii o elektryczność. Co kilka godzin informowano się telefonicznie o sytuacji na Wybrzeżu Kościuszkowskim i omawiano synchronizację pracy.

Naprawić zniszczony przewód... Brzmiał to prosto. Równie nieskomplikowane wyglądało w druku. W rzeczywistości — jakże bywało inaczej!

Aby naprawić zniszczony przez nieprzyjaciela przewód w rejonie ul. Poznańskiej, trzeba było wykonać roboty w kanale, którego wyłot mieścił się na jezdni przy ul. ulińskiego, tuż przed Urzędem Telekomunikacyjnym, zamykającym ulicę. Gmach urzędu przez cały czas powstania znajdował się w rękach Niemców, którzy przekształcili go w twierdzę. Wład do tunelu, oczywiście, nieosiągnięty, leżał o kilkadziesiąt metrów od owej twierdzy i stanowił świetny cel z małej odległości.

Najbliższa ochronna barykada polska znajdowała się przy ul. Marszałkowskiej, a więc już z tyłu, poza włazem. Naprawy trzeba było dokonać w polu śmierci, między niemiecką twierdzą a polską barykadą.

Z rozpoczęciem akcji elektrycy nasi czekali do zmierzchu. Pracą kierowano z bramy i o kien pobliskiej kamienicy. Z na dejszczem oznaczonej godziny dwóch jeńców niemieckich musiano wnieść na jezdnię dwie płyty stalowe, ustawić z nich osłonę i obudować ją płytami cementowymi z chodnika, które przygotowane zawczasu. Niemcy, oświetlając od czasu do czasu teren bliskimi reflektorów, rozpoznali zielonkawą mundury jeńców i pozostawili ich w spokoju. Gdy osłona była gotowa, z najbliższej bramy wyskoczyli kolejno dwaj monterzy, wyprzedzając o ułamek sekundy grad strzałów, jaki się posypał od strony ul. Poznańskiej; dopadli szczęśliwie do kanału i rozpoczęli robotę.

Niestety, całość tej akcji nie obyła się bez strat. W dalszych

Oddział powstańczy w akcji.

Fot. Ag. II. „API”.

stadiach robót jeden z funkcjonariuszy elektrowni zginął, drugi odniósł ciężkie rany. W wyniku tych prac i ofiar, kilka ulic oraz szereg punktów wojskowych, w tym duży szpital, odzyskały prąd.

W pierwszych dniach września padło Powiśle. Krótko przedtem pożar w elektrowni zakończył jej chlubną działalność.

Biuro Spraw Elektrycznych istniało nadal. Musiało dbać teraz i o wytwarzanie prądu, w minimalnym choćby zakresie. Walka trwała, nie wolno było rąk opuszczać.

Trust mózgów z ul. Wilczej nie zwlekał z powzięciem decyzji i jej wykonaniem. W różnych punktach dzielnicy powstały ładowne akumulatorów.

Jak to możliwe, spyta ktoś, skoro nie było prądu do ładowania? A jednak było możliwe.

Tu i ówdzie na podwórkach stały auta, zdobyte na nieprzyjacieli, porzucone przez właścicieli, zabezpieczone w miejscowych garażach.

W pierwszych dniach powstania na Woli, w rejonie placu Żelaznej Bramy czy placu Napoleona, widziało się maszyny ciężarowe i osobowe w ruchu: patrol jeździł na motocyklach. Z czasem ulice przecięto barykadami, benzyna została zarekwirowana do wyrobu słynnych benzynówek, postrachu „tygrysów” i „panter”.

W rejonie Kruczej — barykady powstały na wszystkich rogach przecznice już pierwszej powstańczej nocy. Tu auta były od początku ku walce bezczynne. Obecnie silniki poszły w ruch. W niektórych garazach kilka aut grało naraz równym warkotem, ładując akumulatory, dołączone do prądnic wozu.

Wszystkie akumulatory zostały objęte przez Biuro Spraw Elektrycznych. Przysłał ich był bardzo utrudniony. Stacje mogły przyjmować akumulatory do ładowania tylko na pisemne zlecenie Biura. Interesanci nieuprzywilejowani musieli dostarczyć odpowiednią ilość benzyny, potrzebną do pracy.

Grono osób, wciągniętych w pracę Biura, rozrosło się o bezrobotnych szoferów, elektrotechników, instalatorów.

Dzięki temu „Zjednoczeniu Energetycznemu” tu i ówdzie znowu działały nasłuch radiowy, żarówki samochodowe świeciły w salach (a raczej piwnicach) operacyjnych szpitali polowych. Nie udało się tylko, niestety, przystosować aparatów Rentgena do nowych warunków.

Pamięć o tamtych chwilach nie może opędzić się drobny wspomnieniom, skupionym na peryferiach spraw ważnych, pierwszoplanowych.

Ze wspomnieniami walk, sukcesów, porażek, z goryczą klęski sierpniowego porwy, z gniewem na odpowiedzialnych za tragiczny los Warszawy, mieszała się uporczywie scena, obrazki, wrażenia powszechnie zapomniane lub nieznane, a przecież tak znamienne dla owych dni, dla pełnego obrazu ducha i życia ludności.

Istniało wszak również Biuro Budowy Studzien, które przez

(Dokończenie na str. 2)



Ach te wczasy

— czyli dwie propozycje

Pani Basia otrzymała przemiłą wiadomość z Międzyzdrojów. Wróciła opalona, roześmiana, pełna energii. Henrykowi wcale się to nie podobalo.

— Mój stary, samotny niedźwiedziu — żartowała wycieczka — Niepotrzebnie się chmurzysz, we wrześniu i ty będziesz miał w górach pogodę na amen! Nie nudziłeś się przez dwa tygodnie stowianego wdowieństwa? Powiedz krokodylu!

Henryk nie odpowiedział. Po wierzchołkach czułości wydawały mu się maską czegoś groźnego. Humor żony odzyskanej po dwóch tygodniach wczasów należał do podejrzanych. Co ona robiła w Międzyzdrojach?

— Naturalnie, że chodziłam na dancingi. A co? Miałam wdychać do twojej fotografii?

Zazdrość należy do uczuć brzydkich, lecz ludzkich. Jest najczęściej odwrotną stroną medalu „miłości”, chyba że medal wykonano z najlepszego stopu „zaufanie”. Zdarza się nawet tak, iż po obu stronach medalu znajdujemy „miłość”. Jest to jednak rzadki wypadek, osobliwość... jakby mieniąca zapomnianą o „reszce” odbiła po obu stronach „orta”. W Henryku zabrzęczała więc zazdrość. Stał się mrukliwy. Sobie tylko wia-

wiadomość: „Oni się rozwodzą. Ach te wczasy!”

Nie zgadzam się z naiwnymi dewotkami, że wczasy są zgubą i demoralizacją. Nie sądzę, by świat miał się walić od tego, że wolni ludzie w okolicznościach sprzyjających zbliżeniu dochodzą do porozumienia. Gdy jednak chodzi o sprawy ludzi już ze sobą związanych, rzecz przedstawia się inaczej. Pracujące, bezdzietne małżeństwo powinno dostawać skierowanie podwójne dla obu małżonków równocześnie.

Czy jednak ktoś o czymś takim słyszał? Czy ktoś się zastanowił, że wówczas zamiast rozkładać życie małżeńskie wspólny wypoczynek je tym silniej scementuje?

Głosuję za zasadą: NIECH BEZDZIEETNE MAŁŻEŃSTWA PRACUJĄCE DOSTAJĄ SKIEROWANIA RZĄDZIEJ — LECZ WSPÓLNIE.

Mój kolega Jurek P. ma czworo dzieci. Taka drabinka: najstarsza pięć lat, najmłodsze roczek. „Piękna Halszka”, jak nazywaliśmy ją w czasach naszej studenckiej młodości, straciła wiele uroku, lecz mąż kocha ją równie silnie, jak na ostatnim roku studiów. Halszka zrezygnowała z zawodu. Jurek stał się specjalistą od kosztów własnych w pewnej gałęzi przemysłu i dziś nawet nie najgorzej zarabia. Jest naczeln-

jącą w przyszłych latach kosztów leczenia.

Głosuję za projektem: WYDZIAŁY SOCJALNE WIEKSIYCH INSTYTUCJI WE WŁASNYM ZAKRESIE ORGANIZUJĄ TANIE WCZASY RODZINNE.

Nie tak dawno spędzałem urlop w Wągrowcu. Kiedyś, przed wielu laty mieszkałem w tym mieście i gdy przechodziłem ulicą Kościuszkę, zaczęło mnie kilku obywateli.

— Panie kochany, niech ktoś wreszcie napisze, że my tu w Wągrowcu od pół wieku wojujemy o kanalizację i ciągle nic z tego nie wychodzi. Ostatnio nam obiecywali, i jak się nie zmieniło, tak się nie zmienia. My nawet jesteśmy gotowi ponieść koszt, a od MRN chcieliśmy, by przedstawiła plan robót i zorganizowała całą akcję...

Piszę więc. Dodam jeszcze, że dziw wprost bierze, jak mało wszystko jest w Wągrowcu czysto, chociaż tej nieszczyśnej kanalizacji i wodociągów nie ma. Nim jednak Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego przypomniał sobie o palących potrzebach 12 tysięcznego miasta powiatowego (i moją się znajdującą latę na pokrycie tej dziury) my zajmijmy się inną sprawą: Wągrowcem, jako terenem wczasów.

Ulica Kościuszkowska jest najpiękniejszą arterią. Wille po „jeźdźców” stronie ulicy posiadają strome ogrody, spadające ku brzegowi. Pełno tu zieleni, bujnej roślinności. Tylko jeden większy dom mieszkalny, gmach starostwa i sądu, wyłamuje się z willowej zasady... Ach, zapomniałem: na końcu ulicy, głąb już wśród drzew lasu, znajduje się szpital, a prawie naprzeciw niego — wielki gmach Liceum Pedagogicznego, z urządzeniem internatowym. Dwa boiska sportowe: treningowe i wyczynowe; bujny, trochę może za bardzo zarośnięty, wspaniały park, plaża, kajaki... Jezioro ciągnie się czterdzieści kilometrów i mniej więcej w połowie jest obrosnięte sosnowym lasem, schodzącym stromym urwiskiem aż nad sam brzeg. Dno piaszczyste, woda czystutka. Na



Można by i w ten sposób rozwiązać sprawę wczasów rodzinnych

drugim krańcu jeziora, oddalonym od miasta mniej więcej dwa i pół kilometra — uroczą dzielnicę.

Miejsce na wczasy dla ko-

— powiedzmy — wydział socjalny. Zresztą, jak sądzę, po zamortyzowaniu się kosztów budowy baru, można by obniżyć opłaty.

Projekt ten nie wydaje mi się bynajmniej gruszkami na wierzbie. Poszczególne związki zawodowe przy organizacyjnym poparciu WRZZ powinny wejść w bezpośredni kontakt z radami zakładowymi wielkich przedsiębiorstw i instytucji dysponującymi funduszami na akcję socjalną. Niejedna miejscowość podobna Wągrowcowi znajduje się w Wielkopolsce (Chodzież, Sieraków, Żerniki, Zaniemyśl itd.). Tysiące rodzin miałyby zasłużony wypoczynek, a dzieci zdrowie. Bliskość od miejsca zamieszkania (maksymalna odległość 100 km) obniżałaby koszt przejazdu. Zakłady pracy mogłyby poza tym przewozić rodziny ulopowiczków samochodami, co jeszcze poprawiłoby sytuację.

Głosując za projektem proponuję: „NIECH W TEJ SPRAWIE WYPOWIEDZĄ SIĘ WŁAŚCIWE INSTANCJE ZWIĄZKOWE”.

Janusz LIKOWSKI

PS. Jako projektodawca rezerwuję jeden pokój dla mojej rodziny w pierwszej „rodzinnej kolonii wczasowej”.

Od czego zależy POGODA

i jak ją przewidywać?

„A gdy będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda...” — mówi stara piosenka. Ale chodzi o to właśnie, czy i kiedy będzie słońce i pogoda. Lecz tego przewidywać nie wiemy. Tak zaczyna swe interesujące rozważania Ludwik Chomiński, autor popularnej książki „Od czego zależy pogoda i jak ją przewidywać”. Ukazała się ona niedawno w ilości 15 tys. egzemplarzy nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i zdobyła sobie od razu tak wielką popularność, iż obecnie w przygotowaniu jest drugi nakład, tym razem 50 tys. egzemplarzy.

Autor w bardzo przystępny i zarazem naukowy sposób omawia i wyjaśnia wszystkie zjawiska atmosferyczne, przeplatając je materiałem historycznym. Przypomina on m. in., że Warszawa już w XVIII wieku prowadziła zapiski o pogodzie i była obok Florencji, Paryża i Londynu jednym z takich ośrodków naukowych w Europie.

Książkę czyta się jak powieść. Napisana ładnym językiem o pogodzie, o ruchach mas powietrznych, o walec prądów zimnych i ciepłych. Wyjaśnia ona prawa panujące w atmosferze i na powierzchni kuli ziemskiej. Autor tłumaczy podstawowe prawa fizyczne z dziedziny meteorologii i klimatu, a zarazem przedstawia poglądy naszych przadków na zjawiska przyrody oparte głównie na przesądach i zabobonach.

Dziś Ludwik Chomiński go jest, jak dotychczas, najpopularniejszym, a zarazem ściśle naukowym wykładem o zjawiskach atmosferycznych oraz ich wpływie na pogodę. Cennym przyrzeczeniem są spostrzeżenia autora o charakterze klimatu polskiego, a dla Wielkopolan interesujące uwagi o specyfice klimatu naszego województwa. (H. B.)



Wyspa na jeziorze w Zaniemyślu

domowymi sposobami zdobył nazwiska i adresy wczasowego towarzystwa pani Basi. Rozpytywał o szczegóły. Krystyna, chuda i oschła szatynka miała żal do konkurentki.

Tak, to ona, pani Barbara, odbiła jej inżyniera ze Stalino-grodu. Taki przystojny, ciemny brunet o muskulinarnej budowie. Ach, jak on tańczył swinga. Marzenie!

— Po zabawie poszli na przechadzki, tak... o której wrócili? Nie wiem. Obudziłam się, gdy była druga w nocy. W naszym pokoju jeszcze nikogo nie było.

Przylapany list dostarczył mężowi dowodu rzeczowego. W biurze pani Basi rozniósł się

nikiem wydziału w pewnym centralnym zarządzie, mieszka w Łodzi. Mógł się więc cieszyć, gdy z rady miejscowej otrzymał propozycję wyjazdu na wczasy.

Co jednak powie Halszka?

— Rób jak uważasz... ale do Krynicy? Ja tobie ufam, Jurasku, sam zdecydował. Powinieneś wypocząć po ostatniej harówce.

Jurek P. nie pochodził z klas przed wojną uprzywilejowanych i o Zakopanem czy Krynicy nigdy nie marzył. Nawet tam jeszcze nie był. Pojechał? Żona z dziećmi zostanie w zadymionej Łodzi? Jurek nie wypada.

Po dwu dniach powiedział sekretarzowi rady, że rezygnuje.

— Żeby tak z rodziną... Nie mogę zostawić ich w mieście. To byłby mimo wszystko egoizm.

BIURO najwyższego napięcia

(Dokończenie ze str. 1)

cały wrzesień wiodło — w skromnych zresztą rozmiarach — walkę o wodę, gdy stanęły wodociągi.

Była polowa poczta harcerska, znana ogółowi z polskich skrzynek pocztowych, znaczących orzełkiem i zieloną lilijką. Młodociani, niejednokrotnie ledwie dwunastoletni listonosze, przeniesli między poszczególne dzielnice kilka set tysięcy listów.

Były przydziały mleka skondensowanego, miodu sztucznego itp. dla niemowląt ze strony Wydziału Wyżywienia. Zapewne produkty te otrzymywała za ledwie część potrzebujących. — Jednak sam fakt podjęcia starań w tym kierunku ma swą wymowę.

Między frontem, obsadzonym głównie przez młodzież, a schronami pwnicznymi, zapelnionymi przez masy strwożonych, leżała rozległa Warszawa, miasto nieobliczalnych możliwości i inwencji. Ta właśnie Warszawa, nieślaskawie po traktowana przez dotychczasowych kronikarzy i wspominkarzy, wciąż czeka na swego dziejopisa.

Leszek PROROK

Przemysław Bystrzycki

WOKÓŁ MELINY

(Fragment powieści pt. „Operacja Milczący Most”)

(II)

Drukujemy dzisiaj drugi z kolei fragment powieści Przemysław Bystrzycki pt.: „Operacja Milczący Most”. Pierwszy fragment ukazał się w numerze 30 „Nowego Świata”.

Porucznik milicji rozdziwonił się na wszystkie strony, aż złapał kogo potrzeba. Major nakazując sobie spokój czekał cierpliwie, raz po raz spoglądając na zegarek. Młoda i surowa twarz oficera milicji, obrzeżona przy policzku czarną ramką słuchawki wypogodziła się wreszcie. Z zadowoleniem i pewną nonszalancją postukał palcami po biurku.

„Ford” widział dwa patrole z przedpołudniowej zmiany, jeden przy wjeździe do miasta, drugi na rynku, jak skręcał w kierunku zachodnim. Twierdził, że pędził z niedozwoloną szybkością i to im wpadło w oko.

Przy pomocy mapy łatwo ustalili Dziewowski dalszy kierunek pociągu. Kiebusowi przydzieli dowództwo „nad ciężkim rzutem wsparcia”, a sam postanowił wysunąć się kilkaset metrów do przodu i penetrować przedpole. Był przekonany, iż łąka kilometr natrafia na ślady tamtych.

Dzień czerwcowy tracił ogień za horyzontem. Nad dachami niskich domów Braniewa wyświecał ostatnie blaski, jaskrawe i czyste, wymyte nie dawną burzą. Lekki podmuch marszczył kałuże wody we wgłębieniach jezdni, które czernieły się odbitym blaskiem zachodu. Ruiny, czerniejące jak dziury w rzedach domów, kiwały ku nim, wolno jadącym, krzewami pokrzyw, burzanów i chwastów.

deczne. Bez światła jak wozywidma. Czy daleko, czy jeszcze daleko do miejsca ich ukrycia?

Rozwidlenie dróg wyskoczyło z nienacka. Szofer może nie zauważyłby tej wąskiej ścieżki, ale major znający trochę teren i podparty dokładną mapą, położył mu rękę na ramieniu, mówiąc wolno:

— Zawrócić, człowieku. Po obu stronach bocznej, wąskiej drogi wyrosły czarne ściany niby pionowe zbocza głąbokiego wąwozu, dołem prawie jak strumyk biegł gliniasty teren. Stanęli, major wysiadł i świecił pod nogi. Światło latarki odbite od kałuż pokryło je bluszczowymi szybkami, jakby ktoś rozniecił ogień od spodu.

Wojskowy nachylony szedł bardzo uważnie w poprzek drogi. Stanął nad wgłębieniami olbrzymich gąsienic, zastanowił się. Nie, absolutnie nie widział żadnych gąsienic, olbrzymich zwłazszcza. „Zmęczony” — przetarł ręką czoło. Proporcje regularnych prostokątów, przeciętych esowatą linią, przywróciły do właściwych wymiarów las stojący opodal i wysokie gwiazdy. Znalazł tylko ślady projektorów od opon. Jeden tu, drugi obok: samochod. Zmierzył na oko rozstaw osi. Ciężka osobowa maszyna. Oni! Chyba oni, skorygowali wniosek. Wyszli na asfalt, zamrukał umownym znakiem w stronę ciężarówki. Przywołał Kiebusa.

Tymczasem noc zawiła nad leśnym obszarem. Dalekie, naprawdę dalekie psy szczekały jakby przywoływały księżyc.

Czarna sylwetka zaszemrała cicho krokami, doszła. Sprawdzili wspólnie ślady na błocie,



Rys. (2) Ludomir Kapczyński

Tajemnica himalajskiego „człowieka śniegów” rozszyfrowana

Problem „człowieka śniegów” (yeti) zajmujący umysły wszystkich badaczy i zdobywców szczytów Himalajów począwszy od pierwszej ekspedycji zorganizowanej w roku 1931 — został nareszcie rozwiązany.



Fakt ten w sposób naukowy naświetla dr W. L. Strauss, uczony z uniwersytetu Hopkinsa w Baltimore (USA) który pisze: „W ostatnich latach nadchodzący z Indii oraz Tybetu pogłoski, że na granicy wiecznych śniegów żyje ogromny ssak. Niektóre opisy przynosiły nawet dokładne jego wymiary określone na 7 stóp wysokości. Wiarygodni świadkowie donosili poza tym, że chodzi na tylnych odnóżach, a ciało ma pokryte włosami o odcieniu rudawym. Na domiar, ponieważ ślady owego zwierzęcia spotykano w regionach wysokogórskich, tajemnicze zwierzę nazwano „człowiekiem śniegów”. Na potwierdzenie tych wiadomości, szereg ekspedycji przynosiło ze sobą zdjęcia śladów oraz inne dowody na istnienie tego rodzaju fenomenu zwierzęcego”.

CZYŻBY MAŁPA?

British Museum (oddział historii naturalnej) dwukrotnie zajmowało już głos w tej sprawie. Przywiezione w roku 1937 przez naukowca dr. S. S. Smythe zdjęcia fotograficzne śla-

nie trudno. Dali dowód, że są zdecydowani na wszystko.
— Dobrze. Dwóch milicjantów dobiegło do pomocy i włos mi z głowy nie spadnie. Teraz rozpocznie tyralierę. Za pięć minut ruszam — spojrzał na zegarek.

Kapitan wsiadł w ciemność.

Wolno, krok po kroku nadjeżdżała ciężarówka okryta brezentem. Co kilka kroków suchy trzask podkutych butów uderzał o asfalt. Sylwetki przy padały zaraz do ziemi, niknęły w przydrożnej fosie. „Star” minął majora prawie bez szumu. Sponad opuszczonego tylnego zamknięcia ciągle zeskaakiwali ludzie. Straż boczna komendanta w postaci dwóch milicjantów podeszła, poprawiła automaty na piersiach. Skierowana niemy gestem Dzielwońskiego wsiadła do „Citroenu”.

Z dała lekko pomrukała latarka. Odpowiedziały jej podobne błyski na drugim końcu drogi. Kapitan dawał znak, że tyraliera już rozsypano i skrzydła mogą wchodzić w zarosła. Później ludzie przykucnięci we fosie podnosili się kolejno i znikali między drzewami. I ten najbliższy leżący tuż przy rozwidleniu, i ten z pięć kroków dalej. Major odczekał aż znowu podejdzie Kiebus, rzucił do szofera:

— Teraz, przyjacielu, wolno, aby kapitan nadążyć mógł przy nas, i bez światła.

Obława ruszyła.

Po drodze stwierdzili, że odbicia opon w rozmięklej po ostatnim deszczu ziemi wier nie wskazują, gdzie należało szukać ściganych. Motor nie rozpędzony meł cichutko wysyłone obroty, koła tłamsiły bez rozprysków gliniaste ciasto. Noc napierała na nich zewsząd, prowadząc wolny orszak słupów telegraficznych, jak rozrzucone widety. Milicjanci na tylnym siedzeniu sapali głośno, niespokojnie potrząsana broń brzęczała.

Las nagle przeskoczył fosę, wyrósł ścianą przed maską motoru przeciął szlak. Kiebus idący na zewnątrz zapukał w szybę. Stanęli. Zakręcił w lewo pod

nane w roku 1951 przez Mr. Eric Shiptona nie potwierdziły hipotezy poprzedniej, lecz wskazywały na podobieństwo z odciskami stóp małpy. Później jeszcze dwóch inżynierów norweskich, Aaage Thorberg oraz Jan Frostis, którzy z polecenia rządu indyjskiego dokonywali poszukiwań rudy uranowej, spotkało się podczas swych wypraw z dwiema wielkimi małpami, z których jedna pokasała Frostisa.

Najwięcej jednak przyczynków do rozszyfrowania tajemnicy „człowieka śniegów” dostarczył ostatnio pewien wysoki urzędnik indyjski, nazwiskiem Sreemat Swami Pranavananda, który dokładnie zwiedził regiony Himalajów oraz Tybetu i po zebraniu materiałów ogłosił swe tezy w czasopiśmie naukowym „Indian Geographical Journal”. W swoim wywodzie stwierdza on: „wprawdzie inne zwierzęta pozostawiają również ślady na granicy wiecznych śniegów, lecz w danym wypadku dotyczą one „rudego niedźwiedzia”.

„MI-TE” — CZŁOWIEK NIEDŹWIEDZ

Pranavananda podaje, że rudy niedźwiedź znany jest

katem prawie prostym. Na obwisłych, kosmatych gałęziach świerku zawisł blaskiem niepokój. Co to?! Uwaga! Dzielwoński pomógł z szoferem, wysiadł, podszedł trochę do przodu. Sylwetki milicjantów nie odstępowały go ani na krok.

Oświetlone konary sygnalizowały auto z naprzeciwka. Smuga na obwisłych gałęziach sta-



rodrzewiu nabierała intensywności, wywoływała pnie ukryte głębiej w gąszczu. Niepokój za panował także wśród gęstego podszycia. Błysnęły oczy — zwierzęcia, czy kogoś z obławy? Narastający szum motoru trawował ciszę. Coraz bliżej, coraz uporczywiej i bezwzględniej.

Tymczasem „Citroen” zdażył już stanąć bokiem. Długa przysiadła sylwetka zajął prawie całą szerokość drogi. Manewr zlecony przez szefa dokonał się prawie bezszelestnie. Ktokolwiek jechał należało zatrzymać. Jeśli oni — aresztować, jeśli tylko szofer — także, ale bez hałasu. Huki i echa leśne, dalekośnośne, zaalarmować mogą resztę.

Rozrzućli ludzi, zapadli po rowach. Teraz decydowały sekundy. Smuga drżąca prawie w miejscu coraz jaskrawiej, w jednej chwili omiotła rząd drzew i wypadła zza zakrętu. Hamowanie, wzmożony ryk cylindrów, znowu hamowanie z piśkiem, aż błoto trzaśkało na bok.

Czarnej maszyny dopadli za nim zdażyła stanąć na dobre. — Ręce do góry i nogi zdażyć z pedałów, prosimy. Pozatym —

wszystkim tybetańskim pasterzom, którzy nazywają go w swoim narzeczu „mi-te” (człowiek niedźwiedź, ponieważ potrafi chodzić na tylnych odnóżach), a niekiedy również „kangmi”, co oznacza „człowiek śniegów”. Te dwie rodzime nazwy źle zresztą przetłumaczono, zrodziły legendę o himalajskim „człowieku śniegów”.

Pranavananda dowiedział się o tym zwierzęciu w roku 1935 od pasterzy tybetańskich, którzy opowiadali mu o zuchwałych napaściach „mi-te” na stada bydła, pasące się na znacznej wysokości górskiej. Znamienne, że opisy owego zwierzęcia zgodne były z relacjami podawanymi przez ekspedycje europejskie. Pranavananda zebrał wiele wiarygodnych informacji, w tym ostatnio najcenniejsze od swoich przyjaciół tybetańskich przebywających w Manas. Dla skonfrontowania doniesień wybrał się osobiście, zamierzając dokonać dokładnych pomiarów pozostawionych śladów; znalazł je istotnie w dolinie. Wskazywały one, że zwierzę poruszało się na zmianę na dwóch, bądź na czterech odnóżach.

WĘDRÓWKI NA GRANICIE WIECZNYCH ŚNIEGÓW

Pasterze tybetańscy opowiadają, że „mi-te” wędrują wysoko w góry, na granicę wiecznych śniegów. Mimo nieświdzonych do tej pory wiadomości, Pranavananda skłonny jest przyjąć hipotezę, o możliwości spędzania przez „mi-te” zimy w jaskiniach wysokogórskich.

W swoim raporcie podaje on także ciekawe szczegóły na temat fauny himalajskiej. Tak na przykład inne jeszcze gatunki zwierząt zamieszkują regiony śnieżne; do wódz tego znajdują się ślady. Wśród owych zwierząt wymienia on dzikiego yaka, dzikiego konia tybetańskiego, antylopy tybetańskiej oraz jelenia wysokogórskiego, które on sam wielokrotnie naocznie widywał. Możliwym jest również występowanie rysia, śnieżnego leoparda oraz wilka. Sceptycznie natomiast zapatruje się Pranavananda na zamieszkiwanie regionów wysokogórskich przez małpy, które — jak wiadomo — wymagają cieplejszego klimatu.

Świat nauki przyjął w całej pełni raport Pranavanandy, wyjaśniający legendę o „człowieku śniegów”, która przez tak wiele lat zaprzętała umysły na całym świecie.

Wg „Times’a” opracował M. J.

Dzielwoński siedział już przy kierownicy z palcem na ustach — bez hałasów, jeśli łaska. Gdzie dokumenty? Nie, człowieku, rączek nie spuszczać, sami znajdziemy.

Kiebus zdażył obejść maszynę wokół.

— Numer inny niż nad Notecią, ale „Ford” i wystrzelony w tylnej szybie otwór. Zdażył

także zdażyć dyplomatyczną tabliczkę.

— Nad jaką Notecią, panno? Prosto z Warszawy jadę. Z ministerstwa. Kto wy jesteście?

Racja. Całkiem zapomnieli w tym rożgardiaszu.

— Wyjdźcie.

W świetle fordowskich reflektorów pokazał legitymację.

— Zatrzymujemy was pod zarzutem ranienia milicjanta właśnie nad Notecią, współudziału w akcji wrogiej Państwu Polskiemu i za posiadanie fałszywych dowodów na samochód. Tamci u leśniczego?

— Jacy tamci? — szofer stał błądy. Wojskowy widział jego wzniecone nad głową ręce, lekko drzące.

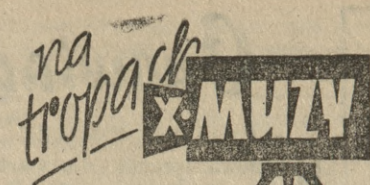
— Pasażerowie.

— Nic nie wiem!

— Cicho, nie krzyczcie. Ale my wiemy.

Milicjanci otoczyli aresztowanego i odprowadzili do tyłu, kapitan oddał się z nimi. Zaraz wrócili w trójkę i Kiebus zameldował szeptem, że właśnie Jazwiec dopędził ich po zmianie przestrzelonego karburatora.

— Dopędził — ucieszył się



W ubiegłym roku minęło 60 lat od pamiętnego grudnia, kiedy zdumionym oczom widzów, zebranych w piwnicy Grand Café przy Bulwarze Kapucynów w Paryżu, ukazały się pierwsze ruchome obrazy. Wrażenie było tak silne, że przy demonstrowaniu filmu pt. „Wjazd pociągu na dworzec” niektórzy wrażliwi z zebranych uciekali z krzesel. Wydawało im się, że lokomotywa lada chwila wtoczy się z ekranu na salę, że zginą pod jej stalowymi kołami...

Ten krótki, kilkuminutowy filmik, spreparowany przez braci Lumière, działał na widza tak silnie, jak na nas np. film Cluzota o przewoźniku gliceryny. Dziś, porównując je uśmiechamy się z zażenowaniem — jak olbrzymi skok uczyła X Muza od grudnia 1895 roku! Te prymitywne dokumenty ciki braci Lumière trudno nazwać sztuką. Nawet ich twórcy nie bardzo zdawali sobie sprawę z doniosłości swego wynalazku. Traktowali go (nie tylko zresztą oni) jako nową zabawę, interesującą ciekawostkę, która, być może, stanie się modną na pewien okres tak,



„Polewacz polany” — pierwsza komedia filmowa, nakręcona przez Louis Lumière’a w 1895 roku.

major. — Dobrze. Niech podjeżdża, byle cicho, albo zaraz. Ten piękny samochód nam się też może przysłużyć — zmienił plan. — Tu wsiadajmy, chłopcy. Tak będzie lepiej.

Teraz „Ford” szumiał cicho, za nim dwie pościgówki Bezpieczeństwa, ciągle bez świateł. Przez ten czas obława powinna była już zająć pozycję wyjściową dla wypadu. Nie spieszyli, aby przyczajonym w lesie ludziom dać jeszcze dodatkowe minuty. Wreszcie kapitan znowu pukając od zewnątrz w szybę zameldował, że skrzydła tyralieri spotkały się i mogą zaczynać. Wkrótce zajechali przed płot leśniczego.

Ujadał pies na łańcuchu, w sadybie jaśniało tylko jedno okno na dole. Major poczekał czy ktoś nie wyjdzie. Wsiadł i ruszył z kapitanem, ściskając broń w rękę; milicjanci odwiedzili zamki automatów.

Furtka. Jednego mundurowego zostawili przy wejściu. Zaraz przezornie położył się na ziemi. Podwórze przeszli niezaczepieni. Zapukali do drzwi. Ciśsza, tylko echa dobiegło. Powrózili stukanie przez szybę, światło na ścieżkę padało jasnym prostokątem i podpełzło aż pod budę psa, który zaskoczony ilością nieznajomych — młczał.

Drzwi ustąpiły lekko bez szmeru. Wszli do ciemnego korytarza, śmierdzącego kiszoną kapustą. Jasna izba poraziła oczy. Stół z resztkami jedzenia, trzy talerze, cztery szklanki po wódce, suszone zioła na ścianach drażniły nozdrza mdłym zapachem.

— Czy jest tu kto? — kapitan nie poznał własnego głosu.

Nie, nie było nikogo. Ani tu, ani we facjatce pod dachem, ani w stajni, i w prowizorycznej wozowni. Resztki jedzenia, letnie jeszcze wskazywały, że leśniczkę opuścili najwyżej przed pół godziną. Przetrzymany szofer, wprowadzony do jasnej izby machnął z rezygnacją ręką; tam poszli — wskazał na zachód. Zamilkł zaraz, bo więcej naprawdę nie wiedział.

Przemysław BYSTRZYCKI

Trzeci fragment powieści „Operacja Między Most” zamieściłmy za tydzień.

Na początku była... komedia

jak modne były szerokie rondo u kapeluszy i długie rękawiczki. Po prostu wystarczało im to, że na białym płótnie potrafiłi pokazać prawdziwy wycinek z życia. Nie przetwarzali tego, co rejestrowała ich nieruchoma kamera. Byli trochę jak dzieci, które dopiero uczą się pisać i którym nie wpadło jeszcze do głowy, że z tych samych liter, przepisanych nieudolnie z tablicy, można stworzyć piosenkę czy wiersz.

A jednak w zestawie tych kilkunastu filmów, wyświetlanych na pierwszym na świecie seansie filmowym, był jeden, który różnił się zasadniczo od reszty. Tytuł jego brzmiał „Polewacz polany”. Oto jego treść: ogrodnik w fartuchu polewa gumowym węzłem klomb kwiatów. W pewnym momencie mały chłopak, ot, taki wielkomiejski andrus, naciska nogą węz. Woda przestaje ciec, zdziwiony ogrodnik ogląda wyłot węzła. W tej chwili chłopak zwałnia ucisk i strumień wody oblewa ogrodnika, który puszcza się w pogoń za psotnikiem.

Nam, którzy widzieliśmy Lloyda, Chaplina, Keatona czy Tatiego — ta króciutka scena

ny już „Wjazd pociągu na dworzec” — nie wykraczały poza bierną obserwację. Ot — pokazujemy wam to i to — i na tym koniec.

„Polewacz polany” był już historyjką wybraną i zapewne skonstruowaną przez Lumière’a choć pomysłu do niej dostarczyła bez wątpienia obserwacja życia. Filmik ten opowiadał historię zamkniętą w sobie, mającą swój początek i zakończenie — swoją akcję. Budził określone wrażenie u odbiorców — śmiech z niefortunną przygodą polewacza. Tu — (obecnie widzimy to wyrażenie nie niż sześćdziesiąt lat temu) stała kolebka X Muzy, tu — opowiedziano nam coś w sposób niedostępny ani literaturze, ani fotografii, ani malarstwu, w sposób niedostępny dotychczasowym dziedzinom sztuki. Opowiedziano ruchem, ściślej: zobrazowano przy pomocy samego ruchu.

Przykro pomyśleć, że X Muza — przynajmniej u nas — tak bardzo zapomina swoich pieluszek, że tak rzadko odwieżdza krainę, w której po raz pierwszy ukazała się światu. Że tak niechętnie i nieudolnie wkracza na tereny komedii...

Janusz BINIEK

O tzw. „zarozumiałym niezrozumiałstwie”

(Dokończenie ze str. 1)

rzeźby czy utworu muzycznego? Na pewno nie. A zatem dlaczego nie rozpoczęto u nas szkolenia młodych pisarzy, konkretnie: młodych poetów?

Wyda się, że dopóki nie utrzyma się powszechne mniemanie, iż umiejętność pisania i czytania, rozumienia do- brych wierszy jest trudną umiejętnością, wymagającą wiele wysiłków i samokształcenia — dopóty kryzys w tworzeniu i popularyzacji literatury współczesnej będzie trwał i nieusuwalny. Tworzenie, odczuwanie pewnych wartości poznawczych i estetycznych wymaga, czasem nawet długiego, kształcenia bystrości umysłu i tzw. zmysłu estetycznego. Jeśli ktoś zaczyna od razu czytać Norwida bez ucziwego terminowania w szkole Kochanowskiego, Krasickiego i Mickiewicza — jasne, że odrzuci z niechęcią „Fortepian Szopena” po przeczytaniu pięciu pierwszych wierszy tego wspaniałego utworu. I na odwrót: jeżeli młody poeta zaczyna „rewolucyjnie” łamać zasady rytmiki i strofiki polskiej bez dokładnego zapoznania się z nimi — wyniknąć z tego może tylko poetycka grafomania i kakofonia.

Zatem — jak pisał mądry Krasiński — „trzeba się uczyć, przemyśleć wiek złoty”. Mądra popularyzacja zasad tworzenia i interpretacji utworów poetyckich usunie u współczesnego czytelnika wrażenie „niezrozumiałstwa” poezji a u młodszych i starszych poetów niebezpieczne poczucie zarozumiałości — przy nauce u mistrzów nie traci się bowiem nigdy poczucia własnej, realnej wartości. Być może, że wpłynie to na chwilowy spadek produkcji to- ników i kolumn poetyckich — nie będzie to jednak na pewno szkoda, ale korzyść dla tera- zniejszości i przyszłości. No, i nie będzie mowy o kryzysie współczesnych poetów...

Zbigniew PĘDZIŃSKI

Fot. — CAF.



Piosenka

To bardzo polska choroba
tak bocyć się i psioczyć,
nam się nie nigdy nie podoba,
a świat jest tak uroczy!

W życiu bywają powikłania,
w państwowym i w prywatnym,
lecz w gruncie rzeczy, proszę pana,
ten świat jest taki ładny!

Sliczny jest świat,
gdy brata kocha brat,
siostrzeniec ciotkę, ciotka wujka
(wtedy nie grozi żadna bójka);
dzieci tatusia, tatuś dzieci
(wtedy nad domem gwiazda świeci);

kuzyn kuzyna i kuzynkę,
a tatuś pannę Ernestynkę,
lecz i mamusię owszem, także
i bardzo miły jest przy szwagrze;
przystojny chłopiec swą panią,
stryjek stryjenkę i wujenkę —
i wszystko to się składa w całość
w jakąś harmonię doskonałą —
bo przecie gruntu, gdy komin dymi,
i kiedy chleb jest i optymizm
i każdy wie,
że
wszystko się ułoży
jak w pudełeczku,
ze zgody tylko korzystać,
mój gołabeczeku,
hej, wszystko się ułoży
we wsi, w miasteczku,
na sto dwa.

Traszkę

RYSZARD KUJAWSKI

niektórych uroczystościach

Wiemy, jak to się odbywa,
Wedle urzędowej mody,
Im większa pompa gdzieś bywa
— Tym więcej płynię tam wody.

pewnym mówcy

Wypowiadał się tak górnolotnie
Ze uleciał z mównicy bezpowrotnie.

Urzędas

Czy dłużej w aktach, czy w nosie
— Jednakże pracy poklosie.

Tępicieł krytyki

Poznasz go, bo wściekłym rykiem
Reaguje na krytykę...

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

CUK-owi nagrobek

Tu CUK spoczywa nasz kochany —
niech mu się przysnią „Jasne łany”.

Zawód

Ekwilibrysta polityczny
to też jest zawód. Dość komiczny.

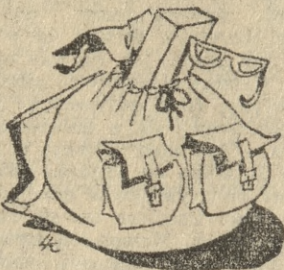
Rada pewnemu

Gdy nie chcesz znaleźć pośród zer się —
uderz się w piersi — nie w popiersie!!!

Opowiadanka z pyłajnikiem

OPALONE TWARZE

Rozmowa toczyła się wart-
ko.
— Ile pan zapłacił za te bu-
ty?
— Tyle i tyle.
— To dużo. Moje buty jed-
nak tańsze. A gdzie pan kupo-
wał?
— Tam a tam.
— E, niepotrzebnie pan prze-
płacił. Szkoda, żeśmy się wcześ-
niej nie dogadali. A to pióro
wieczne?
— Owszem, jeszcze pisze.
— Ile kosztowało?
— Tyle a tyle.
— To tanio. Gdzie pan ku-
pił?
— Tam a tam.



— Niemożliwe. Byłem tam i
powiedziałem, że nie ma. Kiedy
pan kupował?
— Wtedy, a wtedy.
— Ach, widocznie wtenczas
przymierzałem obok te skarpet-
ki.

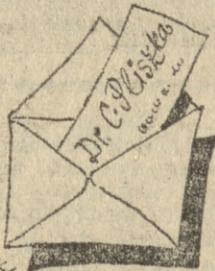
— Ile ich pan wziął?
— Tyle, a tyle par.
— Czemu tak mało?
— Już nie miałem gdzie wło-
żyć. Lodówka zajęła strasznie
dużo miejsca...

PYTANIE: Dlaczego dwaj
panowie, którzy toczyli tę roz-
mowę mieli opalone twarze?

ODPOWIEDZ: Bo wrócili z
paradniowej wycieczki tury-
stycznej w Tatry Słowackie.

WISNIEWSKI JEST
CHORY

Dr Cezary Pliszka, psychia-
tra, przyjmował u siebie
pacjenta. Pacjent, który nazy-
wał się Wiśniewski, przyniósł
od lekarza zakładowego prze-
kaz z dopiskiem „podejrzenie
choroby umysłowej”. Dr Cez-
ary Pliszka, psychiatra, badał



długo pacjenta Wiśniewskiego,
w końcu wystawił świadectwo:
„Brak objawów zaburzeń psy-
chicznych”. Odchodząc, Wiś-
niewski nachylił się nad biur-
kiem lekarza, powiedział parę
słów i skierował się ku wyj-
ściu. Wówczas dr Cezary Plisz-
ka, psychiatra, wstał, odebrał
pacjentowi świadectwo i wypis-
ał nowe. Widniało na nim je-
dno słowo: „Wariat”.

PYTANIE: Co pacjent po-
wiedział nachyliwszy się nad
biurkiem dr. Cezarego Pliszki,
psychiatry?

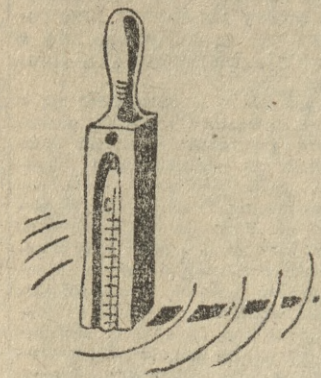
ODPOWIEDZ: Pacjent po-
dziękował grzecznie lekarzowi
za bezinteresowne zbadanie.

SIERPNIOWA NIEDZIELA

Na luksusowej plaży jednego
z nadmorskich uzdrowisk
wypoczywało i bawiło się towa-
rzystwo, złożone z ludzi różnych
narodowości. W pewnej chwili
jeden spośród kąpiących się w
morzu letników zaczął tonąć.
Na widok ten zerwało się z
plaży pięciu osobników, którzy
momentalnie pobiegli w stronę
wody.

PYTANIE: Dlaczego wiado-
mym jest, że osobnicy ci byli
Polakami?

ODPOWIEDZ: Bo „zatrzy-
mawszy się nad brzegiem na-
dziej”



tychmiast wyłonił ze siebie
3-osobową komisję ratunkową,
która zaczęła swą działalność
od smierzenia ciepłoty wody.

POŚWIĘCENIE

— W zakładzie nr 19
znów coś nawala!
— powiedział Sylwester Płasz
do kierownika działu w jed-
nym z centralnych zarządów.
— Co wy mówicie? Znowu
mają trudności? — zdziwił się
kierownik.

— Potrzebna jest im opieka,
towarzyszu kierowniku — pod-
szepnął Płasz. — Bez nas nie
dadzą rady. Wezmę chyba de-
legację i pojade.

Kierownik skrzywił się:
— Ee, chyba nie jest tak

źle. Chce wam się tłuc nocami
w pociągu...

— Trudno, to mój obowią-
zek.

— Niedługo zaczynacie ur-
lop, chce wam się jeszcze tej
roboty?

— A jak tam plan się poło-
ży?

— Poślemy instrukcję i go-
towe. Po co się macie męczyć.

— Ale ja myślę, towarzyszu
kierowniku, że jednak taka o-
sobista bytność...

— Pan się powinien oszczę-
dzać, kolego Płasz!

— E, co tam. Najważniejsze,
żeby produkcja nie ucierpiała,
towarzyszu kierowniku.

Kierownik działu z rozrzew-
nieniem popatrzył na Sylwe-
stra Płasia.

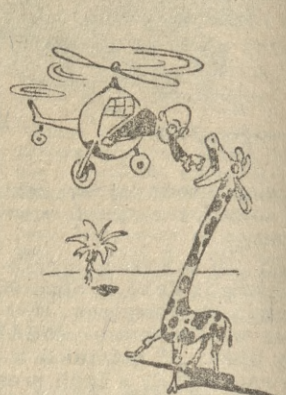


— Wasza wola. Biercie de-
legację na tydzień i jedźcie.

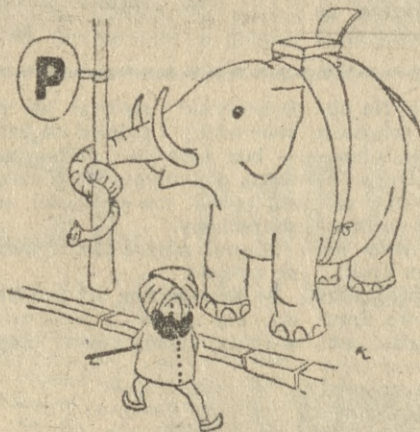
PYTANIE: Gdzie znajduje
się zakład nr 19?

ODPOWIEDZ: W Sopocie.
Julian MIKOŁAJCZAK

HUMOR ZAGRANICZNY



— Proszę usunąć ząb mę-
drości, lewo, dół.



— Komu, komu latające dy-
wany?

ANECDOTY

W roku 1921 zdarzyło się
żeromskiemu, że jadąc tram-
wajem przez Nowy Świat,
zbił szybę. Okazało się, że
nie ma przy sobie 50 marek,
które były potrzebne na za-
płacenie szkody. Musiał wy-
siąść i udać się do komisa-
riatu policji. Dyżurny pro-
sił go o nazwisko i adres, a
zwłaszcza o nazwisko i adres
właściciela samochodu.

— Imię i nazwisko? —
pytał.

— Stefan Żeromski.

— Zawód?

— Pisarz.

— Tak, ale jaki? Gmin-
ny? Hipoteczny?

— Nie, zwyczajny pisarz.

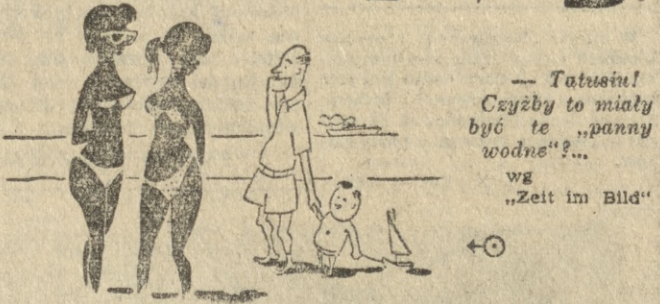
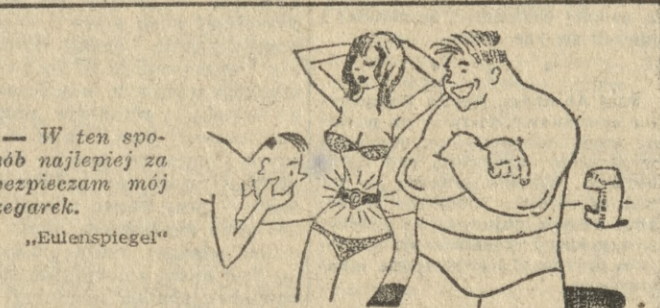
Po czym Żeromski wy-
szedł, zostawiając swój a-
res dla ścigającego nalez-
ści.

SUKNIA

na różne okazje

Przedstawiamy dzisiaj na-
szym czytelnikom model sukni
lansowanej przez jeden z ma-
gazynów mody w Mediolanie.
Model ten stanowi przykład
sukni, którą można nosić na
różne okazje: w mieście, z bia-
łymi rękawiczkami i kapelus-
kiem, na wakacjach lub nie-
dzielnych przechadzkach.

Suknia wykonana jest z ciem-
nogiełowanego kretonu, w
drobne, białe groszki. Spódni-
ca w luźne, modne fałdy, o-
zdobiona koronką i białym pa-
skiem uwytatniającym figurę.
(Oggi)



— Smiało ciociu, ja tu stoje.

— Ale szybko leci ten czas! Za tydzień przyjedzie już
moja żona...